

Napadajcie na Polskę

16 lipca 2009

Wojsko Polskie się kończy. Przynajmniej technicznie. Gdyby przyszło nam prowadzić walkę, czy to na lądzie, czy w powietrzu, czy na wodzie, to od każdego dostaniemy tęgi wpierdol pierwszego dnia. Naszym zdaniem wojna jutro nie wybuchnie, ale gdybyśmy się mylili, to czym wyruszy w pole wiara?

NA ZIEMI

Trzon polskich wojsk lądowych stanowią 4 brygady pancerne, 7 zmechanizowanych i 3 wyspecjalizowane (desantowe, górską).

Uzbrojenie brygad pancernych stanowi ok. 948 czołgów, w tym tylko 128 Leopardów danych nam przez Niemców w prezencie w 2002 r. można zaliczyć do czołgów nowoczesnych (choć dostaliśmy je oczywiście używane). Gros naszych czołgów (w liczbie 590) to T-72, ruska konstrukcja sprzed prawie 40 lat i już 20 lat temu przestarzała. Mimo że T-72 jest lżejszy od Leoparda o 15 ton, to ma o 30 proc. mniejszą moc, czyli jest mało ruchliwy. Jednak najważniejszą wadą weterana jest ograniczona możliwość celnego strzelania w ruchu. Jest jeszcze zmodernizowany T-72, czyli nieco lepszy czołg Twardy, którego mamy ok. 230 egzemplarzy.

Istnieje projekt, aby się pozbyć tych zabytkowych obiektów, ale wycofywane mają być dopiero od roku 2016. Czym je zastąpić? Projektu nie ma. Gdyby w wojsku szukać jakichś sensownych oszczędności, to należałoby przyspieszyć wycofywanie T-72 i rozwiązać 2 brygady pancerne od razu. Mielibyśmy czołgów mniej o połowę, ale za to sprawnych, i nie trzeba by było łożyć na oliwienie kłopotów.

Podobnie jest z piechotą zmechanizowaną, która dosiada 1300 radzieckich BWP (bojowych wozów piechoty) zwanych potocznie „bratnimi mogiłami piechoty”. Były to pojazdy rewolucyjne, ale

50 lat temu. Obecnie na polu walki są zupełnie bezradne – mają cienki pancierz, a zamontowana na nim armata jest niecelna. Produkcja znanego i z naszych łamów Rosomaka (ponad 20 publikacji przez 5 lat – na nasze uwagi krytyczne odpowiadano, że nie mamy racji) opóźnia się – zrobiono dopiero 200 maszyn z 690 zamówionych. Wciąż są problemy z ich uzbrojeniem, bo próbowano połączyć sprzęt wytwórców z różnych krajów, a to nie wychodzi. Czy i czym Rosomak będzie ostatecznie uzbrojony, jeszcze nie wiadomo. Podobno zamówienie na te wozy ma zostać powiększone o 140 sztuk, ale i tak wystarczy ich tylko dla 2 albo 3 brygad zmechanizowanych. Poza tym Rosomaki, podobnie jak przestarzałe BWP, trzeba okładać dodatkowymi płytami pancernymi, żeby rzeczywiście chroniły żołnierzy. Przekonali się o tym ci, którzy pojechali do Afganistanu walczyć z talibską „strażą domową”.

Dla pozostałych brygad zaplanowano modernizację 450 „bratnich mogił”. Oznacza to wyposażenie ich w nową wieżę z nową armatą i rakietą przeciwpancerną, czyli coś, co się nie udało w przypadku Rosomaka mimo kilku lat starań. Rzecz ma kosztować ponad 4 mld zł. To pomysł dyskusyjny, gdyż armaty mają być montowane na podwoziach, z których najmłodsze ma ponad 20 lat i grozi rozsypką.

Jeśli chodzi o armaty, podobnie – większość z nich to w tej chwili obiekty muzealne. Najliczniejsze w naszej armii (mamy ich 530) to samobieżne haubice o wdzięcznej nazwie Goździk, o konstrukcji wymyślonej w ZSRR jeszcze w czasie II wojny światowej.

W POWIETRZU

Nasze lotnictwo bojowe też jest mieszanką sprzętu nowoczesnego i przestarzałego. Obok 48 kupionych od Amerykanów nowiutkich F-16 wciąż mamy tyle samo rosyjskich szturmowców Su-22 i nieco mniej, 36, myśliwców Mig-29. Te ruskie będą podobno służyć jeszcze kilka lat i niczym się ich nie zastąpi.

Latać te ruskie maszyny latają, tylko po co? Problem w tym, że współczesny samolot jest ściśle związany z systemami uzbrojenia, a nie wiadomo, czy ruską bombą z lat 80., nawet sterowaną, uda się w cokolwiek trafić. W każdym razie Węgrzy wycofali Su-22 w 1997 r., a Czesi, jako ostatni z byłych demoludów, w 2002. Gdybyśmy postąpili podobnie, byłaby może kasa choćby na kilka samolotów szkolnych, na których nasi piloci ćwiczyliby latanie. A tak co chwilę któryś się rozwała i w gazetach pan prezydent, pan premier i pan minister obrony narodowej może zamieścić nekrolog, że bardzo, że zasłużeni, że rodzinie...

Dość powiedzieć, że nie mamy w ogóle odpowiednich samolotów do tzw. szkolenia zaawansowanego pilotów. Podobno prowadzimy jakieś rozmowy w sprawie zakupów z Finami i Koreańczykami. Ale to tylko rozmowy wstępne. Weteranki naszej lotniczej edukacji – Iskry – nie dotrwają na wyposażeniu do roku 2012, bo po ostatniej serii katastrof uziemiono ten typ jako pewniaka do następnego wypadku.

Piloci do latania na F-16 (to był największy w dziejach Najjaśniejszej wydatek zbrojeniowy) ciągle się szkolą i jak już się wyszkolą, to za kilka lat (co nie jest pewne) będziemy ich mieli aż po 1,5 na jedną maszynę, co jest wymaganym przez NATO niezbędnym minimum. Jeśli żaden z tych pilotów w tym czasie nie odejdzie ze służby ani nie zginie.

Eksperti uważają, że kraj taki jak nasz powinien mieć przynajmniej 120 samolotów bojowych. Nowoczesnych i w pełni sprawnych. Jako ciekawostkę podajmy, że Migi-29 sklasyfikowane zostały jako „myśliwce dzienne”, tzn. mogą latać i atakować cele tylko takie, które widać w dobrym świetle.

Podobnie kształtuje się lotnictwo transportowe i śmigłowcowe. Zgodnie z danymi MON Wojsko Polskie ma 211 śmigłowców, z tej liczby do 2018 r. zostanie 68, reszta pójdzie na złom, jeśli wcześniej się nie rozpadnie. Aby zachować tzw. potencjał, powinniśmy kupić przynajmniej 150 nowych śmigłowców. Tylko za

co? Nie wiadomo zaś, po co zamawiamy kolejne Bryzy jako samoloty transportowe, bo ich zdolność transportowa to kilkunastu żołnierzy z pełnym wyposażeniem.

NA I W WODZIE

W Marynarce Wojennej nie ma już nic nowoczesnego i prawie wszystko, oprócz portów, 3 rakietowców i okrętów pomocniczych (do pomocniczych zaliczamy motorówki z tworzywa sztucznego i stawiacze min vel desantowce), trzeba będzie likwidować albo modernizować.

Marynarkę Wojenną spisano po prostu na straty. Symbolem jest budowa korwety Gawron, którą rozpoczęto w roku 2001. Ostatnie zapowiedzi są takie, że jednostka ma zostać przekazana Marynarce w 2012 r., a gotowa do działania będzie gdzieś koło 2018 r. Byłby to rekord długości budowania tego typu okrętów. Ale my możemy śmiało napisać, że nie wierzymy w te daty. Jeśli ją skończą, to jeszcze później. W tym roku stocznioy dłubią przy niej „beznakładowo”, zatem pewnie i bezskutecznie. Jeśli ją w końcu zbudują, będzie to dość droga korweta – ok. 1,5 mld zł bez uzbrojenia. Sens wojskowy budowy tego typu okrętów jest wówczas, gdy jest ich co najmniej trzy. Wszystko to znaczy, że w MarWoju szykuje się następna kosztowna łatanina, czyli modernizacja fregat.

Dwie takie dostaliśmy z amerykańskiego demobilu. To był nasz rzekomy sukces, bo dostaliśmy je „za darmo”. Zaraz zostały dumnie ochrzczone Kościuszko i Pułaski. Zdaniem MON są one sprawne. Sprawne inaczej. Kilka systemów jednej z tych „sprawnych” fregat – radarowy, dowodzenia, kierowania ogniem – są nieczynne. Druga fregata jest magazynem części zamiennych dla pierwszej. Obie nadają się w tej chwili głównie do ozdoby nabrzeży. Obie mają zostać zmodernizowane przez USA za „jedyne” 140 mln dolarów.

Gdy napisaliśmy o tym w „NIE”, rzecznik Marynarki Wojennej przysłał sążniste sprostowanie, a ówczesny dowódca MarWoja

admirał Ryszard Łukasik zaprosił Urbana do Gdyni na obiad, aby przekonać, że podaje w tygodniku bzdury.

Duma Marynarki, podwodny ORP Orzeł, jest w stoczni, pobeędzie tam do roku 2010, potem popływa jeszcze 2 lata i padnie ofiarą rozmyślenia nad wymianą jego ruskich bebechów.

Okręty podwodne typu Kobben w sile czterech, co to je nam podarowali w 2002 r. Norwegowie, kasujemy do 2014 r. Powód – nie opłaca się wymieniać akumulatorów, które są źródłem energii napędowej w zanurzeniu. A tacy byliśmy dumni, gdy nam je darowano.

Tymczasem Duńczycy zlikwidowali swoją flotę podwodną całkowicie.

W ZAPASIE RACŁAWICKIE KOSY

Ministrowi obrony narodowej Klichowi łatwo pewnie wmówić różne rzeczy, bo jest lekarzem psychiatrą, a nie specjalistą od wojskowości. Z polskich posłów zaledwie trójka interesuje się poważnie sprawami wojska: Ludwik Dorn (jako poseł opozycyjny i niezrzeszony może mówić sobie a muzom), Janusz Zemke (były wiceminister obrony narodowej za rządów SLD, właśnie odleciał do Brukseli) i Bronisław Komorowski (z partii rządzącej, ale jako marszałek Sejmu ma dość zajęta uwagę czym innym). To trochę nikłe lobby, jak na resort obrony narodowej.

Wojsko przez 20 lat nie dało się podporządkować cywilnej kontroli, a nawet nauczyło się kierować politykami, czego ostatnim przykładem jest pomysł na przeniesienie dowództwa wojsk lądowych z Warszawy do Wrocławia. Jest to bezsens, który trudno wytłumaczyć czymś racjonalnym. Pochłonie on natomiast kolejne dziesiątki, jeśli nie setki milionów złotych (choćby na niezbędną infrastrukturę informatyczną i łącznościową). MON twierdzi: Decentralizacja dowodzenia jest uzasadniona położeniem geostrategicznym naszego kraju. Po prostu zapowiedź zainstalowania jakichś nowych rakiet w Kaliningradzie nasi wojskowi wykorzystują, żeby wkręcić nas w wydatki na jakieś

przenosiny na Zachód.

Problemem polskiej armii jest jednak nie tyle brak sprzętu, co brak zdecydowania, czy mamy mieć armię nowoczesną, czy wielką. Fakt, że wojskowi nigdy nie uwolnili się od swoich duchowych korzeni z Układu Warszawskiego, czyli koncepcji pancernego szturmu przez niziny poprzecinane wielkimi rzekami. Właśnie dlatego kazano Rosomakowi pływać, chociaż fiński oryginał nie ma takiego obowiązku. Dlatego wciąż mamy tyle T-72 i latamy na Su-22. Pomijamy już potrzebę utrzymania 2000 etatów dla pułkowników. To dlatego ciągle gładzi się o utrzymywaniu przez Polskę 100-tysięcznej armii.

Albo będzie kasa na modernizację i wymianę muzealnego sprzętu, który mamy od Ruskich, a ostatnio dostajemy a to od Niemców, a to od Amerykanów, albo na pensje dla rzeszy szeregowców i oficerów. Na wszystko naraz nie ma i nie będzie kasy. Trochę kupią tego, trochę tamtego i tak naprawdę nie będzie niczego. Wszystko więc się rwie i nic nie funkcjonuje tak, żeby naprawdę przestraszyć kogoś za miedzą.

Autor: Waldemar Kuchanny

Źródło: [„Nie” nr 26/2009](#)